

Małgorzata  
Gutowska-Adamczyk

PODRÓŻ DO MIASTA ŚWIATEŁ

*Róża z Wolskich*



Wydawnictwo  
Nasza Księgarnia



*Warszawa*  
*czerwiec 2011*

*M*iała sen. Przypomniała go sobie nagle pośród codziennej krzątaniny. Ktoś ją kochał. Nie wiedziała, kim był, nie przypominał nikogo ze znajomych, ale pożerał ją oczyma, zagarniał ramionami, pragnął do utraty zmysłów. Czuła to samo. Przepelniała ją miłość. Nagła, zachłanna, nieodgadniona, która każe wciąż szukać wzajemnej bliskości, wyciągać ku sobie ręce, obejmować się, tulić i pieścić bez zbędnych słów, bo gest, wyraz twarzy, spojrzenie, uśmiech są dostatecznie wymowne.

Obudziła się, nadal kochając, z przykrym uczuciem dotkliwego braku, bo wiedziała już, że sen ją oszukał. Nic dziwnego, był tylko nieuchwytnym majakiem, obrazem wyświetlanym pod powiekami, filmem z podświadczości. Choć podczas śniadania już o nim nie pamiętała, przez cały dzień zachowywała się jak zakochana. Raz wesoła, to znów smutna, potem radosna i nagle melancholijna, kilkakrotnie popadała w zamyślenie, zastanawiając się, co wyzwoliło ten nastrój. Aż wreszcie po południu jakiś szczegół, może promień słońca, muzyka z samochodowego odtwarzacza, a może mężczyzna, który ją minął w bramie uniwersytetu, coś nieokreślonego znów przywołało ów sen i poczuła się nieszczęśliwa.

Wpisała studentowi do indeksu „dostateczny”, byle tylko nie musieć się już z nim spotykać we wrześniu, i westchnęła, niezadowolona z łamania własnych zasad. Jako nauczyciel akademicki zawsze starała się być pryncypialna, chciała jednak mieć wreszcie z głowy tę pańszczyznę.

„Chyba ulegam presji” – zasepiła się. W nagłym odruchu sięgnęła po torebkę i wyszła z sali egzaminacyjnej.

Kilkanaścioro studentów, skupionych w niewielkich grupkach, wciąż oczekiwało na swą kolej. Siedzieli, stali, rozmawiali, wertowali notatki. Gdy drzwi się otworzyły, popatrzyli ku nim z odcieniem ulgi. Jeszcze trochę czasu na wkuwanie.

„I czego się nauczycie przez kwadrans?” – pomyślała z politowaniem.

Nagle usłyszała głos swego kolegi, Marcina Krzańca, również wykładowcy historii sztuki:

– Proszę państwa, krótka przerwa, muszę się zresetować! Tęsknijcie i drzyjcie! – krzyknął i zamknął drzwi do swojej sali. – Wygląda na to, że w dwie godziny zużywam cały tlen. – Uśmiechnął się do niej. – A ty co? Fajrant?

– Też zużyłam cały tlen – zmęczonym głosem odpowiedziała Nina.

– Papieros czy kawa?

– Kawa.

W pokoiku profesorów nastawiła czajnik i spojrzała przez okno.

– Pani doktor zadumana? Czyżbyś podobnie jak ja rozważała samobójstwo przed kolejną turą egzaminów? To istne *panopticum*, nie mam pojęcia, jak z tymi ludźmi pracować, żyć się odechciewa...

– Najgorsze, że ignorancja zupełnie im nie przeszkadza. – Głęboko westchnąwszy, Nina wróciła do swoich

śmiesznych babskich myśli. Wciąż usiłowała sobie przypomnieć piękny sen o miłości i zapomniane już prawie uczucie bycia kochaną.

– Po co im wiedza, przecież wszystko znajdują w Wikipedii...

Czajnik zagwizdał, ale nim zdążyła zalać kawę, usłyszała dźwięk nadchodzącego SMS-a. Sięgnęła do torby.

AGATA UMARŁA. ZAJMIESZ SIĘ POGRZEBEM

Zamknęła telefon, wciąż jednak ważyła go w dłoni, próbując zrozumieć nową sytuację.

– Coś się stało?

– Muszę wyjechać – odpowiedziała beznamiętnie. – Studenci się ucieszą.

Dziekan zachwycony nie był, ale w końcu dał zgodę na zmianę terminu egzaminów. Zmęczona przepychankami, wróciła późnym popołudniem do domu. Spakowała małą walizkę, przebrała się w spodnie i bawełnianą bluzkę, omiotła wzrokiem wnętrze prawie pustej lodówki, z ciężkim westchnieniem zamknęła mieszkanie i znów wsiadła do samochodu, aby przed wieczorem dotrzeć do Gutowa.

Mimo że nikt jej nie towarzyszył, powstrzymała się od włączenia muzyki, w końcu ciotka to ktoś bliski, dość bliski, by odczuwać smutek. Może więc lepiej, że niewiele je łączyło? Agata Witczak mieszkała w Gutowie, matka Niny, Irena, czuła się zasiedziałą warszawianką. Siostry od dawna nie miały ze sobą dobrych relacji. Nina pamiętała jakieś odległe lata dzieciństwa, kiedy rokrocznie bywała u ciotki. Ale potem nastąpiło coś, czego nie pamiętała, co na zawsze popsuło relacje między siostrami. Zresztą Gutowo już wtedy Ninie nie imponowało, zaczęła jeździć z rodzicami na wczasy zagraniczne, ciąg-

nał ją świat i wcale nie tęskniła za wakacjami w prowincjonalnej dziurze ani za ciotką, która niemal całkowicie zniknęła z rodzinnego krajobrazu.

Ten wyjazd również był tylko obowiązkiem, koniecznym zamknięciem ziemskich spraw nieboszczki, żadną tam podróżą sentymentalną. Ktoś musiał pochować starszą panią, padło na Ninę. Zawsze dokładna i obowiązkowa, wiedziała, co do niej należy, nie uchylała się przed odpowiedzialnością. Trzeba, to trzeba, tak ją wychowano.

Mijając Łomianki, uzmysłowiła sobie, że nie zabrała kijków. Cmoknęła niezadowolona, zastanawiając się, czy powinna zawrócić. Przyzwyczaiła się już do codziennych porannych spacerów z kijami, czuła się po nich przyjemnie zmęczona, a kiedy wyskakiwała spod upiornie zimnego prysznica, jej ciało, lekkie i sprężyste, nie obawiało się żadnych wyzwań. Chodzenie likwidowało też stres, ale przede wszystkim podczas kilkukilometrowego marszu Nina konstruowała wykłady, rozwiązywała skomplikowane zagadnienia badawcze, pisała w myślach artykuły, snuła plany, przekonywała oponentów do swoich racji.

Nie zawróciła jednak, miała przed sobą dość długą drogę, poszukiwanie jakiegoś kąta na nocleg, odwiedzi-ny w szpitalu. Nie wiedziała jeszcze, od czego powinna zacząć. Na co dzień nie zajmowała się organizowaniem pogrzebów. Zdziwiona, uświadomiła sobie, że ma żal do ciotki, która odeszła, jakby komuś chciała zrobić na złość, nie uprzedziwszy nikogo o trwającej już od dawna chorobie, i dopiero teraz obcy ludzie odnaleźli w Warszawie jej najbliższą krewną, matkę Niny. Dlaczego nie syna Agaty podobno mieszkającego w Sydney? Czyżby z nim też nie utrzymywała kontaktu?

Kto się krył za tym murem niechęci? Jakim człowiekiem była Agata? Najprościej założyć, że kimś niesympa-

tycznym, obrażonym na cały świat, niepotrafiącym ustabilizować sobie z nikim stosunków, bo przecież mąż też ją zostawił. Skoro nie żyła, nie miało to już wielkiego znaczenia, nic się przecież nie da zmienić.

Zabrzączał telefon.

DOJECHAŁAŚ?

Słońce właśnie zachodziło, spowijając miasto w różowej monetowskiej poświacie. O tej magicznej godzinie Gutowo, przycupnięte między jeziorem a ścianą lasów, wydało się Ninie jakby mniejsze niż to w jej pamięci. Opustoszałymi uliczkami wjechała na rynek i zaparkowała, aby rozprostować nogi oraz zebrać myśli. Żołądek, zaciśnięty niczym pięść, domagał się jakiegokolwiek posiłku. Teraz żałowała, że nie skusiła ją któraś ze stacji benzynowych czy z przydrożnych górskich karczm. Po co się było tak spieszyć, dziś i tak niczego już nie załatwi.

Rozejrzała się wokół. Odnowiony ratusz stał na swoim miejscu, stara studnia, do której jako dziecko lubiła wrzucać drobne, również doczekała się renowacji. Wielkie kwietniki pełne bratków poustawiano trochę bezładnie, ale kosze z czerwonymi pelargoniami na lekko stylizowanych latarniach wyglądały przyjemnie. Cukiernia Pod Amorem, o tej porze już zamknięta, pyszniła się świeżą elewacją. Nina westchnęła na wspomnienie ogromnych pączków z konfiturą różaną, których rodzice nigdy jej nie odmawiali.

Idąc na ukos przez rynek w kierunku Szewskiej, gdzie spodziewała się znaleźć jakąś czynną pizzerię, nieco z boku zauważyła kute ogrodzenie z furteczką. Początkowo sądziła, że wejście prowadzi do elegancko ukrytego szaletu miejskiego i nawet prychnęła na tę myśl, jednak podszedłszy nieco bliżej, ujrzała tabliczkę: „Podziemna trasa space-

rowa. Wykonano dzięki wsparciu Funduszu Zrównoważonego Rozwoju”. Aż gwizdnęła z podziwu.

Przeszła się Szewską w kierunku promenady i kiedy już miała wstąpić do pierwszego z brzegu czynnego lokalu, zabrzączał telefon.

NIE BĘDZIESZ CHYBA U NIEJ NOCOWAĆ?

Czułaby się dziwnie, nocując w mieszkaniu zmarłej. Matka niepotrzebnie próbowała jej to wyperswadować. Pozostała w Warszawie z własnej woli, rzuciwszy na córkę obowiązki związane z pogrzebem, a teraz próbuje zaocznie wszystkim sterować, cała Irena!

Od czasu matury matka nie pozwoliła Ninie mówić do siebie „mamo”.

– Przecież jesteśmy przyjaciółkami – kłamała. – Przyjaciółki mówią do siebie po imieniu.

Nigdy nie były przyjaciółkami. Ale Nina nie miała też przyjaciółki w swoim wieku. Kiedy tylko na horyzoncie pojawiała się jakakolwiek koleżanka, która mogłaby stanowić dla Ireny konkurencję, ta z zazdrości lub wyczuwając zagrożenie, wyśmiewała rywalkę dopóty, dopóki dziewczynka nie miała dosyć. Nina uświadomiła to sobie całkiem niedawno, kiedy matka próbowała ją pocieszyć po kolejnym rozstaniu, tym razem z mężczyzną. Obarczając córkę całą winą, nie siliła się nawet na współczucie:

– Czemu tu się dziwić, w końcu faceci to wrokokowcy... Na dodatek nie lubią inteligentnych kobiet.

W takich sytuacjach Nina milczała. Dla świętego spokoju nie sprzeciwiała się matce, nie tłumaczyła. Wołała zrezygnować z własnych racji i udać, że się z nią zgadza. Tak było prościej. Te manipulacje spowodowały, że również dziś nie umiała się postawić i grzecznie, niczym najlepsza uczennica, przyjęła na siebie wszystkie obowiązki.



ZNAJDĘ COŚ – odpisała, nie wiedząc jeszcze, gdzie się zatrzyma.

Słyszała od kogoś, że po drugiej stronie jeziora, w Zajezierycach, działa całkiem przyzwoity hotel. Usiadła na ławce, wyjęła z torby iPada i wyszukała to miejsce w internecie. Rzeczywiście, galeria zdjęć przedstawiała się zachęcająco, a menu restauracji nie odstraszało mieszaniną kuchni polskiej, włoskiej, rosyjskiej i japońskiej. Krótkie i jednorodne, tradycyjnie polskie, przywołało tęsknotę za domem rodzinnym. Upewniwszy się, że są wolne pokoje, Nina wróciła do auta, ustawiła nawigację na Zajezieryce Pałac i piętnaście minut później znalazła się na miejscu.

Jeśli myślała, że prześpi noc w cichym hoteliku, zagubionym pośród mazowieckich pól, to bardzo się myliła. Na parkingu stało kilkanaście dobrej klasy samochodów. Pośrodku okrągłego klombu, przywiązane do wysokich drzewców, powiewały trzy flagi: polska, Zjednoczonego Królestwa oraz Unii Europejskiej.

„Może być głośno w nocy. Czyżbym trafiła na jakiś wyjazd integracyjny?” – pomyślała, bliska zmiany planów.

Weszła do przestronnego hallu wprost na duży portret mężczyzny. Na prawo znajdowała się recepcja, za nią winda, nieco z lewej schody na piętro przykryte dywanem w kolorze ciemnej czerwieni. Meldując się, zapytała o kolację; wskazano jej przeszklone drzwi do restauracji. Sądząc po liczbie samochodów, musiało być tam dość tłoczno, jednak nie usłyszała chóralnych śpiewów ani tym bardziej głośnego rechotu, jedynie szum rozmów oraz sympatyczną delikatną bossa novę, która nastroiła ją przyjemnym oczekiwaniem.

Gdy odświeżona i bardzo głodna zeszła do restauracji, przezornie zostawiwszy telefon w pokoju, kelner natychmiast podał kartę. Zamówiła sałatkę Gina, bo tak nazywał

się pokój, w którym ją umieszczono. Uznała to za zabawny zbieg okoliczności, zresztą kombinacja sałaty, pomidora, ogórka konserwowego, gotowanego jajka i wędzonego szczupaka wydawała się interesująca.

Popijając herbatę, przyglądała się gościom. Jej uwagę zwróciła siedząca nieopodal rodzina. Ciemnowłosa, leciutko szpakowaty, przystojny mężczyzna w marynarce i elegancka kobieta w modnej garsonce z dwójką kilkuletnich dzieci, które do matki zwracały się po polsku, do ojca zaś po angielsku. Jedli właśnie deser i choć wyglądali jak wyjęci z banalnej reklamy, mieli w sobie coś tak szczególnego, że raz po raz ściągali spojrzenie Niny. Szczęśliwa rodzina spożywa uroczystą kolację, potworny banał. Patrzyła na nich, jakby im czegoś zazdrościła. A może po prostu zaciekawiło ją to pomieszanie językowe? Zresztą nie było się czemu dziwić, jest wiele podobnych par. Kobieta pewnie wyjechała do Londynu, pracowała w jakimś pubie, poznała Anglika, zakochali się w sobie, pobrali, a teraz spędzają tu urlop, żeby on zobaczył jej kraj i poznał rodzinę. Typowe. Kilka koleżanek Niny przeszło dokładnie tę samą drogę.

Kolacja okazała się smaczna. Świeża sałatka i kieliszek białego wina oraz przyjemne dźwięki fortepianu spowodowały miłe rozluźnienie. Angielsko-polska rodzina spostrzegła, że przykuwa uwagę. W odpowiedzi na przeproszający uśmiech kobieta skinęła głową. Siedzieli jeszcze, kiedy Nina wstała od stołu.

Recepcjonistka na pytanie o kije do *nordic walking* stwierdziła, że ma kilka par do wyboru. By rano nikt jej nie ubiegł, Nina od razu poprosiła o najlżejsze. Jako trasę marszową dziewczyna poleciła drogę wzdłuż jeziora.

– Do Gromiśława jest jakieś osiem kilometrów, do Cieciorki około pięciu, do Długołaki trzy. Trasy są bardzo

ładne, oznakowane, wiodą przez zagajnik, a potem przez las, rozdzielają się na polanie. Nie zabłądzi pani, bo jest tam duża tablica z uproszczoną mapką.

Nina podziękowała i gdy się odwróciła, aby wrócić do pokoju, uważniej spojrzała na obraz wiszący w hallu. Przedstawiał ubranego w surdut eleganckiego mężczyznę, około trzydziestki, siedzącego w lekko niedbałej pozie przy okrągłym stoliku, na którym stał kieliszek szampana. Podeszła bliżej.

– To dawny właściciel pałacu, hrabia Tomasz Zajeziński – płynnie niczym wykutą na pamięć lekcję wyrecytowała recepcjonistka. – Obraz namalowała Róża Wolska. Niektórzy mówią, że mieli romans – dodała tajemniczo.

Nina zauważyła oczywiście sygnaturę: „R.W. 1892”. Pomyślała, że hrabiego sportretowała jakaś utalentowana szlachcianka, zapoznany talent, wiele takich płócien spotyka się w antykwariatach. Malarki, nudzące się panny albo panie domu, czasem nawet dość sprawne, nie znajdowały siły woli ani stanowczości, aby uczyć się i szlifować rzemiosło. Zresztą ich ambicja ograniczała się najczęściej do roli żony, a i rodzina nierzadko wywierała presję, by porzucały zainteresowania, które mężatce nie przynosiły chwały.

Jednak ten obraz był zbyt dobry, przykuwał uwagę, artystka znała się na rzeczy. Co więcej, mimo upływu czasu i zmieniających się mód wyglądał zaskakująco współcześnie. W oczach hrabiego tliły się filuterne ogniki, wpółotwarte usta sugerowały prowadzoną z kimś interesującą rozmowę. Świeża karnacja twarzy i pięknie wymodelowane dłonie nasilały wrażenie prawdziwości, dystynkcja zaś i galanteria postaci budziły w oglądającym tęsknotę za dawnym wytwornym światem i niespiesznym życiem, które, sądząc po wystroju hotelu pieczołowicie na-

wiązującym do epoki, właściciele najwyraźniej próbowali tu wskrzesić. Wydawało się, że sportretowany mężczyzna zaraz wstanie, dopijając szampana, i przejdzie przez pokój, choćby po to, by zamknąć drzwi na taras, ponieważ wieczorny wiatr znad jeziora wzdymał lekko zasłonę.

Wdzięczna za informacje Nina uśmiechnęła się do recepcjonistki. Chciała jeszcze o coś zapytać, ale w głębi korytarza zauważyła kobietę, której przyglądała się podczas kolacji. Trochę speszona, że będzie musiała się wytłumaczyć ze swojego obcesowego zachowania, wchodząc po schodach na piętro, rzuciła pospiesznie:

– Dziękuję i dobranoc!

*Paryż*  
*marzec 1867*

Miasto u jej stóp jaśniało niczym wielobarwny dywan utkany ze światła. Migotało, czarowało, oszalało. Zachwycona nocą i niezwykłym widokiem, chłoneła magiczne obrazy fajerwerków co rusz wybuchających ponad polem Marsowym. Oglądane z podparyskiego wzgórza Montmartre przypominały Perseidy, spadające gwiazdy. Najpierw unosiły się wysoko, potem zataczały wdzięczny łuk, aż zniecka gasnąc, wtapiały się w ciemność. Inne nieoczekiwanie pękały, rozszczepiając się na tysiące drobin, by opaść pod postacią srebrzystego deszczu lub utonąć w połyskujących złotem rzekach wielkich bulwarów.

„Czyżby wszystkie gwiazdy naraz spadły?” – przestraszyła się i przytrzymując dłonią kapelusz, zadarła głowę.

Na poszarzałym firmamencie, jakby zawstydzone, wisiały nad rozświetlonym miastem mocno wyblakłe konstelacje.

„Nasze ładniejsze!” – pomyślała z satysfakcją, wspomniawszy wyprawę do kościoła na nabożeństwo pasterki i granatowy nieboskłon aż kipiący od gwiazd podczas mroźnych nocy Bożego Narodzenia.

„Miasto światła” zachwycało jednak na tysiąc różnych sposobów i z pewnością żadne inne miejsce na świecie nie

mogło konkurować z Paryżem, który po zmroku robił jeszcze większe wrażenie niż za dnia, kiedy zadziwiał i przerażał ogromem budynków, hałasem czynionym przez powozy oraz pieszych na bulwarach, zachwycał pięknem kościołów, mnogością pałaców, szerokością ulic, urokiem parków, szokował liczbą teatrów, restauracji, pasaży czy pawilonów wzniesionych specjalnie na wystawę światową. Zdumiewał przybysza z prowincji różnobarwnym tłumem, przemierzającym miasto wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu coraz to nowych atrakcji. Takiego mrowia wychowana na wsi dziewczynka nie widziała jeszcze nigdy.

Gdy przed niespełna dwoma tygodniami wysiadła z pociągu na Gare du Nord, zmęczona kilkudniową podróżą postanowiła, że nigdy nie polubi Paryża. Przestraszył ją hałaśliwy dorożkarz mówiący bełkotliwym francuskim, zatrwożyły piętrowe omnibusy, rozczarowały rozkopane ulice, kurz i błoto, rudery na peryferiach oraz dziury w ziemi, pozostałe po zburzonych domach w centrum. Pośpiech, który odczuła podczas swej pierwszej przejażdżki z dworca do domu wuja, napełnił ją trwogą. Ale te przykre wrażenia powoli ustępowały, miasto zaś, poznawane coraz lepiej dzięki kolejnym wycieczkom, z dnia na dzień zyskiwało jej względy. Zresztą jak mogło być inaczej? Czy ktokolwiek zdołał się oprzeć jego urokowi?

Rzuciła szybkie spojrzenie na matkę, by sprawdzić, czy ona również podziwia obraz rozświetlonego nocnego Paryża. Ale Krystyna Wolska stała sztywno, bez uśmiechu, utkwivszy wzrok gdzieś w zamykającej horyzont czerni. Od początku uważała tę późnowieczorną eskapadę za szaleństwo i zgodziła się na nią wyłącznie dlatego, że wuj Izydor tak bardzo nalegał.

– Zamknij usta, Rózo! – syknęła, nie potrafiąc ukryć rozdrażnienia. – Masz już prawie dziewięć lat, w tym wieku nie powinno się zapominać o dobrych manierach.

Róża posłusznie opuściła wzrok i dygnęła. Z zamkniętych ust dziecka nie padło ani jedno słowo.

Prawie nie pamiętała, kiedy ostatnio widziała matkę uśmiechniętą. Liczyła na to, że niecodzienne doznania, dla których mimo późnej pory tłukli się tu dorożką przez prawie pół miasta, chociaż na chwilę rozczerwają jej oblicze. Była to wszak winna wujowi, albowiem wszelkimi sposobami próbował umilić im pobyt w Paryżu. Dzięki jego uprzejmości widziały już przecież tyle zabytków i ciekawych miejsc; mogłyby nawet zapomnieć, po co tu w ogóle przyjechały.

Okazuje się jednak, że tylko Róży się to udało. Matka, przygnieciona przez troski, załamana, wciąż przeżywająca wszystkie nieszczęścia, jakie ostatnio spadły na rodzinę Wolskich, nie potrafiła wydobyć się ze stanu przygnębienia, który ścinał chłodem jej oblicze.

I nawet tak piękna podróż oraz zachwycające miasto i wielka feta z okazji wystawy powszechnej, wywołująca entuzjazm nie tylko zwykłych ludzi, ale nawet koronowanych głów, nie zmieniły zachowania Krystyny. Wuj Izidor wiedział o wszystkich zmartwieniach siostrzenicy i serdecznie jej współczuł, mimo to jednak twierdził z całą stanowczością, że zbyt surowo wychowuje ona małą.

– Ależ, *ma chérie!* – próbował ratować sytuację. – Wszak to moja wina, nie każ dziecku się smucić. Uśmiechnijże się, proszę! Zobacz, jaka ona szczęśliwa!

Róża spod rondka swego kapelusika rzuciła matce nieśmiałe spojrzenie i rozbijający uśmiech, ale Krystyna Wolska tym razem znów nie potrafiła zdobyć się na

żaden miły odruch. – Popraw kapelusz, Rózo! Wyglądasz niczym przekupka!

Dziewczynka posłusznie wyrównała kapelusz, a bezsilny wuj Izidor pokręcił głową. Rozumiał Krystynę, podzielał rozpacz spowodowaną skazaniem męża na długoletnią zsyłkę, poczucie beznadziejności, w jakim żyła, tragiczną sytuację finansową. Jednak przecież chciał dać jej wsparcie, dlaczego więc ciągle nie pozwalała sobie na ani jeden uśmiech i wciąż strofowała małą? Czyżby to miało przynieść jej ulgę?

Dziecko po każdej takiej uwadze stawało się smutne, pogrążone w zadumie, nieraz nawet uroniło cichą łzę. A przecież lekarz wyraźnie powiedział, żeby obchodzić się z Różą delikatnie, niepotrzebnie nie narażać na smutek, nie robić przykrych uwag, nie podnosić wobec niej głosu. Krystyna w obecności doktora Fourniégo przytaknęła wszystkiemu, a potem nie zastosowała się do żadnego ze wskazań.

Minione dwa tygodnie niemal od rana do wieczora spędzali w swoim towarzystwie i Izidor Ziółkowski miał okazję zauważyć niejedno takie zachowanie. Siostrzenica postępowała według niego zbyt surowo. Gdyby dziecku nic nie dolegało, można by to pominąć milczeniem, ale skoro przyjechała tu, aby dziewczynkę kurować, powinna słuchać zaleceń. Kilkakrotnie próbował poruszyć ten temat, jednak jako kawalerowi niezręcznie mu było wtrącać się do spraw wychowania.

– Wracamy? – rzucił żwawo, schwyciwszy lękliwe spojrzenie małej posłane matce.

– A gdzież my o tej porze znajdziemy fiakra? – Zapinając guziczek rękawiczki, Krystyna sposepniała jeszcze bardziej. – Pora już tak późna, że pewnie przyjdzie nam do rana szukać!



Ale nie spełniła się fatalna przepowiednia. Wielu ludzi tego pięknego majowego wieczora wybrało się na wzgórze, aby obejrzeć pokaz ogni bengalskich nad Polem Marsowym, i nim minął kwadrans, znalazła się wolna dorożka. Chwilę potem zjeżdżali już w dół, ku bulwarom. Róża, zmęczona nadmiarem wrażeń, przytuliła się do rękawa aksamitnego bolerka matki i zamknęła oczy. Dochodziła dziesiąta wieczór, dawno już powinna spać.

W rytmicznym stukocie uderzających o bruk końskich kopyt powieki zaczęły się kleić także wujowi Izydorowi. Tylko Krystyna Wolska nie pozwalała sobie na drzemkę, ktoś przecież musiał czuwać. Mimo że nie znała Paryża, rozglądała się uważnie, jakby chciała przyłapać woźnicę na tym, że obrał okrężną trasę. Przytrzymując drzemiacę dziecko, siedziała sztywno wyprostowana z poważną, niemal wzdargliwą miną, ze zmarszczonym czołem i z opadniętymi kącikami ust, które ją postarzały, żłobiąc na twarzy brzydkie bruzdy. W skromnej czarnej sukni niemal całkowicie pozbawionej ozdób wyglądała niczym wdowa. Nie troszczyła się jednak o to, z pogardą odrzucając kokieteryę. Zresztą czy ktokolwiek inny, znalazłszy się w podobnej sytuacji, dbałby o pozory?

Świat i miasto z jego urokami im piękniejsze, tym bardziej ją irytowały. Nie potrafiła i nie starała się nawet ukryć rozdrażnienia, w które wprawiało ją to niecichnące nigdy ludzkie rojowisko. Patrzyła z przerażeniem na zbyt strojne, obwieszzone biżuterią oraz wyzywająco umalowane kobiety, z włosami ufarbowanymi na ognistorudy kolor i zgodnie z najnowszą modą ubrane w jaskrawe suknie czy chichoczących niczym podlotki, próbujących dotrzymać im kroku mężczyźni, dla których przymus zabawy i używania życia wydawał się najważniejszym przykazaniem.

Cały ten paryski świątek, zbyt szalony, zbyt głośny, zbyt powierzchowny, mógłby wyprzeć z jej myśli i serca tragedię, której doświadczyła, zasklepić rozdrapywaną wciąż od nowa ranę. Drżała z obawy, że w końcu sama zacznie stroić miny wzorem napotykanym kobiet, które kpiąc ze swej reputacji, głośno się śmiały, odchylając do tyłu głowy. Nie mogła sobie pozwolić na radosne kontemplowanie miasta, bo poczułaby się jak zdrajczynie. A przecież powinna wytrwać w powadze, musiała pielęgnować swój ból, jej obowiązkiem było stawić opór szaleństwu ulic, podtrzymywać cierpienie, smutek i żalobę. Aż do końca być wierną złożonej przysiędze.

Nie chciała myśleć o tym, co się stało tam, w Polsce. Pamiętała tylko wypadki ostatnich dni. W jej uszach wciąż rozbrzmiewał gwar dworców kolei żelaznej, przenikliwe gwizdki oznajmiały odjazd pociągów. Czuła duszący zapach skłębionego dymu z parowozów, zdawało się, że słyszy miarowe dudnienie kół na szynach. Gdy tylko na jedną chwilę przymykała powieki, nieproszone zjawiały się obrazy z uciążliwej, kilkudniowej podróży. Wczesnoporanne lub późnonocne przesiadki w Aleksandrowie, Berlinie, Hanowerze, Kolonii i Liège.

Mimo upływu czasu Krystynie wciąż zdarzało się myśleć z przerażeniem, że nie zdążą, mając tylko godzinę czy dwie na zmianę dworca. Lękała się, że przez pomyłkę obiorą niewłaściwy kierunek. Choć osiągnęły już cel, jej serce ciągle jeszcze ścisnęło się w trwodze, że zostaną okradzione, nadal powracało uczucie paniki, które nią zawładnęło, gdy zaginęły bagaże. Zmęczenie długotrwałym siedzeniem zastąpiła wreszcie ulga, kiedy po wielu trudach bezpiecznie dotarły na miejsce, różnorakie obawy jednak pozostały. Teraz Krystyna lękała się o dziecko, o zesłanego na Syberię męża; poczęła znów

patrzeć w nieco odleglejszą przyszłość, a ta rysowała się zatrważająco.

Tymczasem wuj oczekiwał, że obie z Różą będą miło spędzały czas, jakby przez sam fakt znalezienia się w tym mieście ludzie pozbywali się wszelkich trosk. Łatwo tak mówić! Nie musiał zajmować się rodziną, nie doznał ostatnio żadnego poważniejszego uszczerbku na zdrowiu, a interesy szły mu dobrze. Grał na giełdzie i, zdaje się, jakoś na tym wychodził. Krystyna zaś, przygnieciona do ziemi niekończącym się pasmem nieszczęść, straciwszy wszystko: sielskie życie u boku kochającego męża, majątek i zdrowie jedyne dziecko, nie potrafiła się zdobyć nawet na jeden uśmiech, by zrobić wujowi przyjemność. A on nie rozumiał i – cóż – miał swoje racje, twierdząc, że ostentacyjnym okazywaniem smutku niczego nie osiągnie. Jej wydawało się, że ostentacja może dotyczyć jedynie wesołości. I jakkolwiek spontaniczna radość nie wszystkim przystoi, powaga nikomu nie uchybia.

Nagle szarpnięcie i podniesiony głos fiakra uświadomiły Krystynie, że dojechali na Chaussée d'Antin, gdzie rezydował Izydor Ziółkowski. Wuj ocknął się, potrząsnął głową i sięgnął po pugilares, ona zaś poczęła budzić małą. Zaspana Róża otworzyła oczy i wstała, popatrując nieprzytomnie, jakby usiłowała przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. Mimo że wieczór był pogodny, odczuwała chłód. Gdy mijali służbówkę, Krystyna spojrzała na konsjerżę, monsieur Dubois, a ten, robiąc kwaśną minę, kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć:

– Zachciewa się wycieczek po nocy!

Weszli do mieszkania na trzecim piętrze. Wuj zarządził jeszcze herbatę dla rozgrzewki, ale senna Róża, usiadłszy na sofie, nie potrafiła utrzymać głowy prosto.

– Pomogę jej się położyć – powiedziała Krystyna.

Powiesiła kapelusz, rękawiczki odłożyła na podręczny stolik w korytarzu, zabierając do przydzielonego im przez wuja pokoju gościnnego jedynie małą, wyszywaną koralikami torebkę w kształcie sakiewki, z którą zazwyczaj wychodziła na miasto. W pokoju paliła się już lampa, a pościel na dużym dwuosobowym łóżku była przygotowana. Krystyna rozpięła guziki i pomogła córce zdjąć sukienkę. Zaczekała, aż dziewczynka umyje twarz i dłonie w porcelanowej misce pełniącej funkcję toalety, po czym wzięwszy do ręki szczotkę, zaczęła czesać ją przed snem. Choć włosy dziewczynki były długie, gęste, naturalnie kręcone, o pięknym odcieniu tycjanowskim, matka dotykała ich ostrożnie, nawet jakby z obawą, na jej twarzy zaś malowała się prawie niezauważalna niechęć. Zawsze cierpiała z tego powodu, a od pewnego czasu nie miała już cienia wątpliwości, że rude włosy córki to przekleństwo.

Podczas czesania Krystyna odmawiała na głos pacierz, a Róża z głową raz po raz opadającą na piersi i ze złożonymi dłońmi czekała, aż po zakończeniu modlitwy matka pozwoli jej się położyć. Przedtem jednak należało zrobić znak krzyża oraz kiwnąć na potwierdzenie, że skierowały do Boga wspólną prośbę w intencji skazanego na wywózkę ojca. Teraz już można było iść spać. Zazwyczaj dziewczynka kładła się na wznak, jednak kiedy matka wychodziła z pokoju, natychmiast przyjmowała pozycję embrionalną.

Nim opuściła sypialnię, Krystyna zmniejszyła płomień lampy, lecz nie zgasiła jej całkowicie, albowiem córkę często w głębi nocy budziły złe sny. Jako że leczenie przynosiło rezultaty, towarzyszące im rozdzierające okrzyki teraz już niemal całkowicie ustały. Gdy jednak ktoś ze służby, zapomniawszy się, przykręcił płomyk, zdarzało się, że dziec-

ko, rozbudzone przez swój nagły wrzask, nie potrafiło zasnąć aż do samego rana.

Wuj Izydor siedział w salonie, czytając „Le Crédit Parisien”. Popatrzył sponad okularów i zapytał z nadzieją:

– Powiedziała coś?

– Pocieszam się, że doktor Fournié nie kazał się spodziewać natychmiastowych efektów – odparła Krystyna i westchnęła.

– Pozostaje oczekiwanie... – Starszy pan odłożył przeglądaną gazetę i smętnie spojrzął gdzieś w przestrzeń. – Nie mogę zrozumieć, jak to się stało.

Krystyna Wolska potrzebowała dłuższej chwili, by z wystudiowaną obojętnością powiedzieć wreszcie:

– Pewnego dnia zamilkła.

– Całkiem przestała mówić?

– Jako pięciolatka dużo się mazgała i często popłakiwała. Początkowo niczego nie zauważyłam, wydała mi się jedynie grzeczniejsza. A potem nic już nie mogłam zrobić...

– Trwało przecież powstanie.

Kobieta objęła się rękoma, jakby przez pokój przemknął powiew lodowatego wiatru.

– Myślałam, że kiedyś wydam ją dobrze za męża i spokojnie przycupnę gdzieś w pobliżu. Ale kto zechce niemowę? Niemowa nawet nauczycielką nie zostanie... – Głos jej zadrżał boleśnie. – Bóg się ode mnie odwrócił.

– Nie bluźnij, dziecko! – Izydor Ziółkowski fuknął ze złości. – Cóż nam wiedzieć o boskich wyrokach?!

– Jaki los ją czeka? Służba u obcych? Nie stać mnie nawet na posag do klasztoru!

– Jakoś wytrwacie do powrotu Kazimierza.

– Skazali go na piętnaście lat!

– Z których dwa już minęły.

– A jeśli nigdy nie wróci? Jeśli...

– Zesłańcy wracają z Syberii! Jestem tego najlepszym przykładem. Wielu polskich powstańców mieszka w Paryżu i tu oczekuje lepszych czasów. Dla was także znajdzie się miejsce. Trochę pokory i cierpliwości! – Wbrew sobie powiedział to dość twardo, by dać odpór słabnącej woli swej siostrzenicy.

– Moją powinnością było ruszyć za nim w drogę, a ja tymczasem bawię w Paryżu! Zwiedzam muzea, spaceruję po parkach, oglądam sztuczne ognie, jak jakaś... – Słowo „lafirynda” nie przeszło jej przez usta.

– Robisz to dla Róży! Przyjechałaś tu z ważnego powodu. To, że Paryż się bawi, nie jest twoją winą. Takie to miasto. Pójdę już spać, zmęczony jestem – dodał miękko, jakby chciał jej wynagrodzić wcześniejszy atak, i podniósł się z wyraźnym trudem.

– Dobranoc! – Spojrzała nań z wdzięcznością i kiwnęła głową.

Było to wszystko, na co mogła się w tej chwili zdobyć.

Nazajutrz podczas śniadania wuj Izydor okazywał nadzwyczaj dobre usposobienie. Z gracją podawał paniom pieczywo, półmiski z wędlinami i serami, żartował, a nawet podśpiewywał pod nosem jakąś melodię.

– Wuj dziś w szampańskim humorze – zauważyła Krystyna.

Powiedziała to lekko, jakby zadowolona, co kontrastowało z jej wczorajszym przygnębieniem.

– Spodziewam się, moja droga, spodziewam się! – starszy pan rzucił tajemniczo. – Poradźcie sobie przez kilka godzin beze mnie? Mam pilne interesy.

– A cóż takiego, jeśli to nie sekret?

– Jakiż tam sekret, duszko, w moim wieku?

– Wuj wybaczy, ale wszak w starym piecu diabeł pali.

Izydora Ziółkowskiego uradowała delikatna przemiana siostrzenicy. Róża też wyglądała na szczęśliwą tego ranka. Uśmiechnięta, jadła z apetytem. Postanowił jeszcze bardziej poprawić im humor.

– Dziś przypada termin likwidacji<sup>1</sup> na giełdzie i jeśli mnie rachunek nie omylił, wrócę bogatszy o kilkaset franków! A może i o okrągły tysiączek lub półtora? W dwa tygodnie! To mi spekulacja co się zowie! – Zacierał ręce z radości.

Krystyna niczego nie zrozumiała; pytającym wzrokiem patrzyła na wuja, licząc, że ten wyjaśni, na czym polega owo cudowne rozmnożenie pieniędzy bez pracy rąk, on jednak uznał najwidoczniej, że dla jej nieprzygotowanego umysłu będzie już dosyć. Wyjął z kieszonki kamizelki zegarek i popatrzył nań uważnie.

– Nie czekajcie na mnie z obiadem, zjem coś w Champeaux<sup>2</sup> przy placu Giełdowym. Muszę się tam spotkać z moim remizjerem<sup>3</sup>, ma podobno na oku doskonałą okazję. A wy co będziecie robić? Może będziecie się wybrały na zakupy do Pasażu Opery? Kobiety to lubią, a stary wuj Izidor tylko by wam przeszkadzał!

– Jakże to?! Chyba wuj żartuje!

– Dobrze już, dobrze... Masz tu dwadzieścia franków, moja złota, może kupisz coś małej? Ale koniecznie weź dorozkę, żebyście mi się nie zgubiły. I zważaj na *flâneurów*<sup>4</sup>,

---

<sup>1</sup> Realizacja wzajemnych rozliczeń transakcji giełdowych przez zapłacenie różnicy kursów. W opisywanym okresie likwidacje na Giełdzie Paryskiej odbywały się w połowie i pod koniec miesiąca.

<sup>2</sup> Założona w 1800 roku restauracja paryska usytuowana przy placu Giełdowym, u zbiegu rue Vivienne i rue des Filles-Saint-Thomas, popularna ówczesnie wśród finansistów oraz inwestorów giełdowych.

<sup>3</sup> Pośrednik zbierający zlecenia giełdowe inwestorów i przekazujący je maklerowi.

<sup>4</sup> Flâneur – ktoś, kto przechadza się po mieście w poszukiwaniu wrażeń, szlifibruk.

Krysiu, bo jeszcze nam który gotów porwać ten kwiatek różany! – Śmiejąc się z własnego dowcipu i ze zgorzenia siostrzenicy, mężczyzna otarł usta serwetą i wstał, dając znak, że śniadanie zakończone.

Niedługo potem wyszedł, a Krystyna, wziąwszy z biblioteki podniszczony zbiór bajek Krasickiego, przykazała Róży usiąść i zgodnie z zaleceniami lekarza rozpoczęła głośną lekturę:

*Paw i orzeł*

*„Paw się dął, szklniące pióra, gdy wspaniale toczył.  
Orzeł górnio bujając, gdy go w locie zoczył,  
Rozśmiał się i przeleciał. Wrzasnął paw – w śmiech ptacy.  
«Nie znają się – powtarzał – na rzeczach prostacy».  
«Znają się – rzekł mu orzeł – wdzięk cenić umieją,  
Ale gardzą przysadą i z dumnych się śmieją».”<sup>5</sup>*

Zakończywszy czytanie, Krystyna spojrzała na córkę.

– Rozumiesz to?

Siedząca na kanapie Róża kiwnęła głową.

– Wyprostuj się!

Dziewczynka wyprostowała się jak struna.

– Za mocno!

Róża spróbowała dostosować się do wymagań.

– Usiądź bliżej brzegu. Głowa prosto, ramiona lekko do tyłu, dłonie złoż na kolanach. Teraz lepiej. Zapamiętaj tę postawę i zawsze staraj się tak siadać, nawet jeśli w domu nie będzie gości. Chyba nie chcesz przynieść wstydu wujowi Izydorowi?

---

<sup>5</sup> I. Krasicki, *Bajki i przypowieści*.



Dziewczynka energicznie pokręciła głową, a matka spojrzała jeszcze raz do książki, jakby starała się odnaleźć wątek.

– Cieszę się, że wiesz, jakiej nauki chciał ksiązę biskup udzielić swym czytelnikom poprzez tę bajkę. Mówi on nam, że we wszystkim, co robimy, powinniśmy mieć na względzie umiar i skromność, a zwłaszcza w stroju i zachowaniu. Młoda dziewczyna winna się ubierać starannie, zachowywać powściągliwie, taktownie i grzecznie. Na ulicy musisz pamiętać o zamykaniu ust, choć możesz się naturalnie odrobinę uśmiechać. Nie zatrzymuj wzroku zbyt długo na jakimś przedmiocie, muskaj go jedynie spojrzeniem. Ulicą idź równo, bez podskakiwania. W kawiarni jedz w spokojnym tempie, ani zbyt wolno, ani zbyt szybko, pij z umiarem, przed piciem i po wypiciu delikatnie otrzyj usta chustką. Czy wszystko zrozumiałas? Pamiętaj, że będziesz wśród obcych ludzi, musisz zachowywać się godnie. Czy tak się właśnie zachowasz?

Róża po raz kolejny kiwnęła głową.

– Dobrze więc. Jeszcze kilka bajek i pójdziemy się przejść. Usiądź obok mnie i patrz na zdania, które przeczytam. Wyobraź je sobie jedno po drugim, tak jakbyś je chciała powiedzieć, pamiętasz, co mówił doktor?

Róża potwierdziła.

– Będę robiła przerwę po każdym zdaniu, żebyś mogła je w myśli powtórzyć. Patrz na słowa, pokazuj palcem to, które akurat wypowiadasz w myśli. Nie spiesz się, bądź wolna, ale dokładna. Zaczynamy...

Pasaż Opery rozciągał się pomiędzy boulevard des Italiens a Operą Le Peletier, dość blisko rue de la Chaussée d'Antin. Krystyna знаła drogę. Wsunęła dwadzieścia

franków do rękawiczki, aby nikt nie pozbawił jej pieniędzy, zniecka wyszarpując torebkę, włożyła kapelusz i rzuciwszy spojrzenie w lustro, poczuła się gotowa do pierwszego samotnego spaceru. Trochę drżała na myśl, co może spotkać kobietę przechadzającą się bez towarzystwa, ale wszak w Paryżu nikogo to nie gorszyło. Na bulwarach spotykała wiele pań pozbawionych męskiej opieki, zdecydowała więc, że mimo wszystko pójdzie z Różą na piechotę.

Chodziło nie tyle o oszczędność, ile o przechadzkę. Na bulwarach zmodernizowanych przez barona Haussmanna nie trzeba było wciąż uważać, stąpając po deskach chroniących przed ugrzęźnięciem w błocie lub piasku. Tu przebudowa miasta była już zakończona. Zresztą dziś pogoda dopisywała, a Krystyna nie ufała paryskim fiakrom. Co prawda nie ufała również paryskiej ulicy, tym tłumom przelewającym się w poszukiwaniu zarobku i nękającym przyzwoitych ludzi ofertami usług lub sprzedaży brzmiącymi jak prośba, a jeszcze częściej jak groźba. Dlatego lękała się żebraków, sprzedawców jarzyn, nosiwodów, natrętnych kwiaciarek, szklarzy, muzykantów, ulicznych śpiewaków, handlarzy używanymi ubraniami, treserów pcheł, atletów, gazeciarzy, sprzedawców tabel giełdowych, roznosiceli ogłoszeń i prospektów, a nawet sprzedawców napoju z lukrecji.

Nigdy nie zapuściłaby się sama na taki boulevard du Temple, gdzie chodniki pozostawały wąskie, a ulicę opanowaną przez powozy trudno było przejść, gdzie gawieź szukała rozrywki podczas jarmarków, zaglądając do nędznych teatrzyków i dioram, gdzie połykacze noży, stojąc obok sprzedawców wykałaczek, kobiet z brodą oraz żywych kościotrupów, prześcigali się w walce o zarobienie kilku nędznych *sous*. Wolała spacerować po pa-

sażach. Tam nie trzeba było się obawiać niepogody czy ruchu ulicznego.

Ale choć nigdy by się do tego nie przyznała, nęcił ją poszerzony bogaty boulevard des Italiens z jego eleganckim towarzystwem – dandysami przechadzającymi się z zawsze usługowymi lokajczykami u boku oraz przyciągającymi wzrok damami podróżującymi w szykownych kolasach. Urzędowały tu podobno trudne do odróżnienia od porządnych niewiast kobiety upadłe, które wuj Izydor raz tylko nazwał przy Krystynie wulgarnym słowem „dziwki”. Naturalnie natychmiast przeprosił za swe żołnierskie manieri, jednak niesmak pozostał na długo.

Ukryta w powozie, Krystyna czuła się bezpieczna; zrezygnowawszy z wzięcia fiakra, musiała przybrać na twarz wyraz wyższości, który mówiłby wszystkim, że nie jest zainteresowana żadną transakcją. Tylko tak mogła się obronić przed tłumem. Bolała jednak, nie potrafiąc się w żaden sposób uzbroić przeciwko paryskim *flâneurom*, błąkającym się po mieście bez wyraźnego celu, wolnym krokiem przemierzającym galerie. Przesiadujący w ogródkach kawiarni pisarze, artyści, dziennikarze, malarze, aktorzy i politycy napawali ją lękiem. Zwłaszcza u Tortoniego<sup>6</sup> zawsze było ich pełno.

Nie sądziła bynajmniej, że któryś z nich mógłby ją pozbawić pieniędzy, już prędzej dokonałby tego jakiś mały złodziejasek, obdartus w kaszkiecie. Bała się *flâneurów*, gdyż siedząc beczynn timer, obserwowali ulicę i za zasłoną gazety szeptali coś do swoich towarzyszy. Dotychczas widywała ich jedynie z przejeżdżającego szybko powozu, teraz musiała przejść pod ostrzałem setek lustrujących spojrzeń.

---

<sup>6</sup> Renomowana kawiarnia paryska, założona w 1798 roku, od 1804 do 1893 istniejąca przy boulevard des Italiens jako Café Tortoni.

Gdy znalazły się z Różą obok jednego z takich ogródków, Krystyna usłyszała gromki śmiech. Zagryzła wargi, mocniej ścisnęła dłoń dziecka i przyspieszyła kroku. Pewnie rozbawił ich czarny kolor jej skromnej, nieco sfatygowanej sukni o niemodnym już od dawna kroju. Wbiła wzrok w trotuar, aby nie napotkać niczyjego spojrzenia i minąć ich jak najprędzej, zanim kolejny wybuch śmiechu do cna pozbawi ją pewności siebie. Upokorzona pogardliwymi, jak jej się wydawało, spojrzeniami młodych mężczyzn, Krystyna nie zauważyła, że Róża przykucnęła, aby zawiązać trzewik.

Dziewczynka drżącymi dłońmi nieudolnie motała pętelkę, obawiając się karcącego fuknięcia i przykrego komentarza, że znów zaciągnęła sznurówki nie dość mocno. Przez jedno krótkie mgnienie jej wzrok, jakby pociągnięty tam siłą, zawisł nad kawiarnianym stolikiem, a oczy stopiły się ze spojrzeniem młodego mężczyzny. Róża wiedziała, że to niedozwolone i niewybaczalne, ale w jakimś niepojętym dla niej samej przedziwnym uporze chłonęła je, czując, że rozgrzewa ją ono od środka, napełniając nieznaną słodyczą. Mężczyzna powiedział szeptem, jakby do siebie:

– *Quelle jolie fillette*<sup>7</sup>.

Jego słowa zagłuszyło surowe:

– Rózo! Nie marudź!

Spojrzała po raz ostatni na mężczyznę, on zaś uśmiechnął się melancholijnie, jakby zrozumiał wypowiedzianą po polsku przyganę, czym prędzej uciekła więc ze wzrokiem.

„*Jolie fillette*”? To było o niej? Więc jest ładna? Nigdy nie przyszło jej to do głowy. A może tylko bardzo chciała

---

<sup>7</sup> Jaka śliczna dziewczynka (fr.).

to usłyszeć, a ten pan nic takiego nie powiedział? Zresztą matka powtarza zawsze, że uroda nie ma żadnego znaczenia, liczą się tylko pobożność i dobre maniery. Dlaczego tak mówi? Bo uważa swą córkę za brzydka.

Tymczasem Krystyna również usłyszała dobiegający od stolika strzępek rozmowy:

– ...karmelowo zabarwione ciało na tle bituminu czarnego jak noc, światło z tyłu na ramionach i udreńczony wyraz twarzy wynikający najwyraźniej z bólu brzucha.

– Takie malarstwo to kpina.

– Nie kpina, tylko klasyka.

– Martwa, dodaj. Zimny trup sztuki.

– Przygotowaliście coś na Salon? Niedługo mija termin.

– Tardoux wszystko mi odrzucił.

– Mnie też. Ale jeszcze coś machnę.

Zatem nie mówili o niej! Krystyna odetchnęła z ulgą. I choć jeszcze przed chwilą kuliła się pod rzekomym przegierzem ich wzroku, teraz zerknęła w stronę stolika. Siedziało tam trzech młodych, zajętych dyskusją, elegancko ubranych mężczyzn.

„Niczym plotkarki! – pomyślała niemal ze wzgardą. – Gadacie trzy po trzy, zabijacie czas, gapiąc się na bulwary. Czy w obliczu armat, skierowanych w wasze piersi, bylibyście równie odważni, jak bezdusznie wyśmiewacie teraz tego nieszczęsnego malarza?”

Spojrzała na Różę, która zacisnęła właśnie sznurówki i wstała, gotowa do dalszego spaceru.



---

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o. o.  
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c  
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,  
faks 22 643 70 28  
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Dział Handlowy  
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42  
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32  
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl

[www.wnk.com.pl](http://www.wnk.com.pl)

---

*Książkę wydrukowano na papierze  
Ecco-Book Cream 60 g/m<sup>2</sup> wol. 2,0.  
MAP Polska*

Redaktor prowadzący *Anna Garbal*  
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*  
Redakcja *Julia Celer*

Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Agnieszka Czubaszek*  
Korekta *Magdalena Szroeder, Paulina Martela, Malwina Łozińska*

ISBN 978-83-10-12176-9

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2012 r.  
Wydanie pierwsze  
Druk: Nasza Drukarnia